

NOWA JUTRZENKA

TYGODNIOWE PISMO OBRAZKOWE
WYCHODZI CO CZWARTEK.

Prenumeratę przyjmuje Redakcja i Administracja „Nowej Jutrzenki“ w Lublinie, ulica Rynek № 2, (II piętro).
Redakcja i Administracja otwarte codziennie (za wyjątkiem świąt) od 10—2 i 5—7.

WARUNKI PRENUMERATY: w Lublinie 8 Kor. rocznie; — 2 Kor. kwartalnie. Za odnośnienie do domu 20 hal. miesięcznie
Z przesyłką pocztową 10 K. rocznie; — 2 Kor. 50 hal. kwartalnie. Numer pojedynczy 20 hal.

Z BOGIEM, PRAWDĄ, DOBREM I NARODEM.

KALENDARZYK.

Dzień	Imiona Świętych i Święta	Słońca		Księżycy	
		Wsch. g. m.	Zach. g. m.	Wsch. g. m.	Zach. g. m.
21	C. Alojzego Gonzagi	3 39	8 24	5 21	9 41
22	P. † Paulina, Klemensa	3 39	8 24	6 31	10 2
23	S. Marjanny, Zenona	3 39	8 24	7 42	15 19
24	N. 4 po Ziel. św. Jana Chrzc. Jana Chrzc.	3 40	8 24	8 51	10 34
25	P. Emmy, Prospera	3 40	8 24	10 0	10 48
26	W. Jana i Pawła	3 40	8 24	11 8	11 1
27	S. Władysława króla	3 41	8 24	12 17	11 15

Zmiana księżycyca. Pierwsza kwadra dnia 27-go o 5-ej godz. po południu.

Przypomnienia robót gospodarskich. Kosić trawy i koniczyny. Tępić kaniańkę i oset. Obcinać gałęzie topoli.

Z Historji Polski. Dnia 24-go czerwca 1305 r. przypada rocznica śmierci króla Wacława.

Po śmierci króla Przemysława II, który zdra ziec-ko przez Niemców był zamordowany roku 1296, tron polski objął król czeski Wacław. Arcybiskup Jakób Świnka, mając niechęć do Władysława Łokietka, przeszkodził mu zostać królem polskiny; wolał Czecha.

Wacław, król czeski i teraz polski, poddał całą Polskę cesarzowi niemieckiemu, a sam w Polsce nie chciał mieszkać, lecz powrócił do Czech. Rządy w Polsce zostawił swoim starostom, którzy uciskali naród. Wacław zaś zajęty był staraniem, żeby zdobyć jeszcze jedną koronę węgierską. Chciał Wacław stworzyć jedno wielkie państwo czesko-polsko-węgierskie.

Lecz nie udało mu się, bo wkrótce umarł. (24-go czerwca 1305-go roku). Do Polski zaś polacy wezwali Władysława Łokietka.

Ks. A. Kozicki.

Nieufność — to plaga.

W obecnym czasie w Lubelskiem zaogniła się sprawa żywienia Lublina. Miasto wielkie zajmuje się li tylko handlem i przemysłem, ale nie ma u siebie własnych magazynów zbożowych. Z dnia na dzień wieś dostarczała Lublinowi żywności. Od pewnego czasu jednak już i wieś stała się niedostatecznie pilną dostawczynią, wskutek czego Lublinowi głód zaczął dokuczać. Jak temu zapobiedz? Oto pytanie, nad którego rozwiązaniem pracują głowy wszelakie.

Trzebaż jednak dojść do jakiegoś wniosku. Więc ostatecznie kto ma żywić Lublin? — Wieś, odpowiadamy. A co uczynić, żeby wieś dawała żywność. Wieś ociąga się i nawet przebąkuje, że nie da, bo nie ma... Ale są tacy, co wsi nie dowierzają, zdają im się, że ma, chowa i już nie dać nie chce jawnie, a skrycie prowadzi handelek ze spekulantami i wędrującą biedotą, która w tłumoczkach, na plecach, wynosi te wsi pożywienie i taszczy je do Lublina, sprzedając głodnym mieszczuchom okruchy na wagę złota.

Co to wszystko znaczy? Przedewszystkiem brak nam ciągle uspołecznienia. Naprawdę my tu w Królestwie jeszcze nie umiemy zrzeszać się, pracować spolem. Gdyby taka potrzeba dostarczenia żywności dla wielkiego miasta nastęczyła się dajmy na to w Poznańskim, albo w Galicji tam, z pewnością, nasi rodacy prędko i łatwo załatwiliby całą sprawę pomysłnie, bo tam już zdawna istnieją gromady zrzeszone, które potrafią naradzać się i uczynione postanowienie posłuchliwie, zgodnie wykonać. Dość wspomnieć o kółkach rolniczych w Poznańskim, które tam zjednoczyły lud polski, udoskonaliły go pod względem fachowym, moralnym i obywatelskim. I zarazem przy tej sposobności nadmieniamy o Galicji, która tu u nas w Królestwie niesłusznie bywa lekceważona, bo jakkolwiek ma jeszcze wielkie bolączki, naprzykład, zażydzenie, wszelako już spełnia wielkie dzieła pocieszające: dźwiga oświatę, szkolnictwo i bardzo podnosi lud polski. Tam w Galicji lud zrzesza się i po obywatelsku staje się coraz czynniejszy. Na dowód wspomnijmy choćby o stronnictwie ludowym w Galicji, które w ostatnich czasach bardzo dzielnie wystąpiło z dobrą myślą polityczną, domagającą się zjednoczenia całej Polski.

U nas, w Królestwie, jeszcze niepodobna osiągnąć zrzeszenia ludu. Dlaczego? Może się mylę, ale podług mego mniemania u nas, w Królestwie, lud polski jeszcze dwa jady zatrzuwają, mianowicie: jad niewoli moskiewskiej — i jad wpływów żydowskich. Moskał pilnował duszy chłopa polski-go, aby w niej nie ożywiły się dwa uczucia, niebezpieczne dla ówczesnej Rosji:

przywiązanie do Polski, jako swej ojczyzny, — i zaufanie swojakom, co skłoniłoby lud do zjednoczenia się w wielką gromadę, groźną dla każdego wroga. Moskale już niema w Królestwie, ale po nim jeszcze jad niechęci ku Polsce i ku zrzeszeniu tkwi w duszy ludu. A jeszcze zauważmy, że i w interesie żydów tutejszych jest to, by chłop polski nie lgnął do Polski i do swojaków, bo przecież dopóki chłop nie będzie obchodziła Polska i dopóki swojakom niedowierzać będzie, dopóty żydzi będą mogli gospodarować w Polsce i dopóty, oczywiście w ich rękach będzie handel i miasto... Więc żydzi majsterńie jad moskiewski w duszy chłopu pielęgnują, pocichu, zręcznie strasząc, że gdy odrodzi się Polska, — lud zostanie uciemieźony, a żadnej natomiast korzyści nie osiągnie. Że zaś chłop polski w Królestwie jeszcze nie odwykł od wielkiej zażyłości z żydem, nic tedy dziwnego, że dotychczas spełnia się ciche, serdeczne pragnienie żyda, bo dotąd lud polski tu w Królestwie stroni i od Polski i od swojaków.

Chłop tu idzie luzem, jeszcze nie widzi potrzeby jednoczenia się z współbracią swoją i na kłopoty ojczyzny spogląda tylko jako trocha ciekawy widz w teatrze, bo sam jeszcze nie chce się wtrącać i nawet nie wie, jakaby radą zażegnać utrapienia obecne Polski. Z tak usposobionym ludem dziś prawie niepodobna porozumieć się o zaopatrywaniu w żywność miasta Lublina. Jeszcze żadnej łączności chłop polski

nie dostrzega między wsią i miastem. Miasto głodne. Trzeba mu dostarczyć żywności. Skłania do tego przedewszystkiem uczucie chrześcijańskiej miłości, a następnie i zrozumienie obowiązku obywatelskiego, który nakazuje troszczyć się o dobry ład i porządną gospodarkę w całym kraju.

Uczucie chrześcijańskiej miłości u wielu naszych współbraci jeszcze jest słabiuchne. Są oni gotowi dać tylko jałmużnę drobną i chwilową, ale to w nich uczucie za słabe na to, aby mogło skłonić wielu do zjednoczenia się gwoili ratowania długo i wspólnie głodnych rodaków mieszczan. A o zrozumienie aż obowiązku obywatelskiego nawet mowy być nie może. Jeszcze bardzo wielu naszych rodaków zgola nie poczuwa się do takiego obowiązku. Zatem trudno było umówić się z ludem wiejskim o zbiorowe dostarczenie chleba do Lublina. Główną ku temu przeszkodą stanowi stare, jeszcze przez Moskali wypielegnowane, a dotychczas przez żydów podtrzymywane *niedowierzanie*... Jeszcze w znacznej większości chłop polski — *nikomu nie wierzy*. Ale czy dlatego mamy ręce bezradnie opuścić? Nie. Więc co czynić? Szukajmy rady, a znaleźć się musi. Przecież lud polski, jakkolwiek niedowierzający, nie pozbawiony jest zdrowego rozumu chłopskiego, przeto podda się temu, co słuszne i niezbędne. Ale mówmy szczerze, jasno i śmiało, bez oglądania się na względy ludzkie.

Cała sprawa wyżywienia miasta wydaje się

KS. ALEKSANDER KOZICKI.

16)

Historja Kościoła Polskiego

DLA LUDU

21.

Kośelól broni polskość od niemeów.

Bolesław III Krzywousty podzielił Polskę na działy (na dzielnice) i rozdał je między czterech synów. Później każdy książę znów to samo robił ze swoją dzielnicą i tak dalej. Jak to zwykle bywa pomiędzy książętami zaczynały się kłótnie i spory o te działki. Stąd powstały wojny domowe pomiędzy książętami. Nie było w polsce jedności. A to mocno osłabiło Polskę. Sąsiedzi, widząc to, napadali na Polskę, i niszczyli ją ogniem i mieczem. Tak trwała przez wiele lat.

Polska była zrujnowana. Miasta i wsie zrabowane i popalone. Starców, kobiety co słabsze i dzieci wybito, a młodych i silnych zapędzono do niewoli. Kraj polski został wyludniony. Polska stała się prawie pustynią. Nie było ludzi, nie było komu gospodarzyć na gruncie, nie było komu płacić podatków. A tu trzeba koniecznie dostać pieniędzy na utrzymanie dworu książęcego i na potrzeby państwa.

Książęta i biskupi tedy zaludniają kraj polski niemcami i żydami. Sprowadzają książęta niemców-kolonistów i nadają im grunta, sprowadzają żydów i nadają im różne przywileje. To przyciągało coraz więcej niemców i żydów. Powstało w Polsce mnóstwo ludnych, zamożnych osad niemieckich i wiele żydowskich. Przynieśli oni z sobą do Polski język niemiecki i obyczaje niemiecko-żydowskie. A że ich większa była siła, więc i język i obyczaje obce zaczęły się szerzyć między narodem polskim. Polacy mieli zostać niemcami. Naród rozumiał, że potrzeba jeźbności, a więc jednego księcia, któryby ratował naród polski od śmierci.

Nim jednak Polska się zjednoczyła, Kościół zaczął bronić naród swemi ustawami od zagłady. Oto arcybiskup Pełka w roku 1257-ym zwołuje biskupów, książąt i panów na synod. Na synodzie uchwalono, żeby proboszczowie nie powierzali szkół niemcom, bo przecie niemiec będzie zawsze uczył po niemiecku polskie dziecko i zrobi żeń niemca.

Jeszcze lepiej bierze w obronę lud polski drugi arcybiskup (gnieźniński) Jakób Świnka (tak się zwał). Przypomina on ustawy dawnego synodu Pełki i zwołuje synod roku 1285-ym. Na tym synodzie wydaje zakaz, żeby nie dawać godności kościelnych niemcom. Potem zaskarżył zakonników - franciszkanów, mieszkających na Śląsku i w Prusach, bo oni samowolnie oderwali się od polaków i przyłączyli się do niem-

zatrudną może tylko dlatego, że nie dbamy o porozumienie się jasne i jawne. Niech ludność wiejska przede wszystkim zwróci uwagę na to, że Lublin *nie ma chleba*,

I polska Rada miejska, istniejąca przy magistracie lubelskim, podjęła się zająć zakupem zboża u rolników okolicznych. W tym celu wysłała swoich delegatów w różne strony Lubelskiego, aby oni objaśnili włościan o ciężkiem położeniu miejskiej ludności ubogiej i prośbą swoją skłonili mających jeszcze zboże do odprzedania go Radzie miejskiej, która nabyty chleb obiecała rozdzielić między głodującą ludność lubelską.

Jakież było powodzenie onych delegatów? Ogólnie można stwierdzić że nieszczególne. Ludność wiejska okazała i wobec delegatów swoją nieufność i nieuczynność. Ale czy i teraz słuszne są powody do nieufności i nieuczynności? Wprawdzie tu i owdzie niektórzy włościanie głośno czynili uwagi, że może to tylko podstęp, że może władze znowu zechcą zboże nasze wysłać daleko w obce strony? Jednak chyba już każdy prawidłowo myślący rodak nie uwierzy

w takie posążenie, bo przecież kto wysłał delegatów i dla kogo? — Rada miejska miasta Lublina, składająca się z miejskich obywateli, wybranych większością głosów ludności miejskiej, a więc chyba zasługujących na zaufanie ogółu polskiego, wysłała swoich delegatów w okolice do włościan po zakupno zboża *dla głodnego Lublina*.

Gdyby lud polski, tu w Królestwie, umiał tak zreszczać się, jak to dzieje się w Poznańskim i w Galicji, — z pewnością sam przez swoich przedstawicieli zdołałby porozumieć się z Radą miejską i nawet bez udziału delegatów sam zebrałby między sobą, ileby się dało zboża i dowiózłby je do magazynów Rady w Lublinie. Ale, niestety, lud tutejszy z powodu dwóch jażdów, o których wyżej była mowa, jeszcze zrzeszać się nie umie, więc nie tylko sam nie spieszy na ratunek, ale i nie ufa tym, którzy chcą u niego czynić zakupy dla tych głodnych. Co smutniejsza, — to, że obecnie u nas prawie nikt nie chce pouczać ludu o tem, że nie zawsze należy być nieufnym i o tem, co czynić, aby najlepiej zabezpieczyć się przed wszelakimi podstępami...

Ten i ów powiada: „nie mogę zachęcać ludu, aby był ufniejszy do swoich, aby chętniej, uczynniej ratował współbraci głodnych, bo zaraz lud i mnie przestanie ufać, podejrzewając o znowu na jego szkodę“... Czy taka wymówka jest uczciwa i pożyteczna? Bynajmniej! Czy dla-

ców. A zakonnikom-cystersom grozi Jakób klątwą i odebraniem majątków, jeżeli będą się odrywali od Polski i jeśli nie będą przyjmowali do zakonu polaków.

Powiadają, że Jakób bardzo nie lubił Niemców, bo chcieli polaków zrobić Niemcami. Raz na koronacji króla Wacława II tak miał się nasz arcybiskup odezwać o kazaniu biskupa brixenckiego: „Bardzo pięknie kazalby, gdyby psia głowa nie był Niemcem“: (Zobacz ks. Kantak. Dzieje K-ła pol. t. II str. 62).

Tak Kościół bronił polskość od Niemców.

22.

Nawrócenie na wiarę chrześcijańską prusaków.

Na misje do Prus chodził święty Wojciech jeszcze roku 997 i święty Bruno roku 1009-go i inni, ale nic to nie pomogło. Kraj pruski dalej był pogańskim. Dopiero Krystjan zaczął z lepszym powodzeniem misje, które Polska wspiera pieniędzmi.

Krystjan pomiędzy innymi namówił księcia mazowieckiego, Konrada, żeby do pomocy w misjach sprowadził zakon rycerski, zwany „Krzyżakami“. Był to zakon niemiecki. Przyniósł nam on wielką szkodę — zagładę państwa polskiego.

Konrad usłuchał Krystjana i sprowadził *Krzyżaków* do Polski. Nadał im, jak to się dawa-

ło każdemu zakonowi, ziemię Nieszawską. Nie na osobistą własność, lecz jej używalność wieczystą. Niewiele z tych Krzyżaków było korzyści, bo ich mistrz przysłał do Polski tylko dwóch krzyżaków. Wtedy Konrad założył podobny zakon rycerski *braci dobrzyńskich* roku 1228-go i nadał im Dobrzyń.

Tymczasem Krzyżacy podrobili sobie *zapis*, że Konrad dał im na własność osobistą całą ziemię chełmińską i całe Prusy. Posłali później te zapisy do cesarza niemieckiego i papierza dla zatwierdzenia.

Zdziwił się później Konrad, gdy mu papierz dziękował (roku 1234) za takie hojne darowizny zakonowi. Nie dosyć na tem, bo Krzyżacy pociągnęli do siebie *braci dobrzyńskich*, zagarnęli ich nadania, to jest ziemię Dobrzyńską, a samych potem wygnali.

Konrad podał Krzyżaków do sądu papieskiego. Sędziowie z ramienia papieskiego przysadzili zwrot Konradowi ziemi Dobrzyńskiej, ale ziemia chełmińska, nieszawska i Prusy zostały przy Krzyżakach i jeszcze Konrad musiał dopomagać Krzyżakom w ich wojnach z prusakami.

(d. c. n.)

tęgo, że dziecko boi się wyjść na dwór w nocy, mamy ulegać dziecku i niejako utwierdzać je w bojaźni przed urojonymi strachami? Nie! Owszem, pouczajmy je, że strachów niema, że najgorszy strach siedzi w ciemnej głowie i w nieczystym sumieniu. Tak chyba należy czynić i z ludźmi dojrzałymi, ciennymi, słabo myślącymi, którzy w sobie żywią urojoną nieufność, podejrzliwość względem każdego. Czy schlebaniem ludziom nieufnym zjednamy ich zaufanie dla siebie. Ależ bynajmniej! Tylko tembardziej utwierdzimy ich w podejrzliwości, bo zaraz będą rozumowali tak: „a co, przyznają nam rację, żeśmy słusznie im niezaufali, bo stulili uszy, nie śmia się sprzeciwiać”...

Nigdy nie należy schlebiać wszelkiemu złu. Nieufność w życiu społecznym, narodowym — to straszna plaga, która zabija każdą myśl dobrą, każdy poczciwy nakaz do pracy pożytecznej. Nieufność ludu, — to zaporą do czynienia postępu w jego życiu codziennym. Lud nie ruszy naprzód dla nieufności, nie zechce poddać się każdej wskazówce najlepszej i najślusniejszej tylko dlatego, że nikomu nie ufa. I tylko dlatego mamy rozpaczliwie ręce opuścić? Przenigdy! Musimy w ludzie polskim wykorzenić nieufność, podejrzliwość, a stanie się to w takim tylko razie, gdy śmiało wykazywać będziemy, że nieufność, to nic innego, jak lenistwo ducha, bezmyślność, wkładanie głowy w śnieg, jak to zwykły czynić głupie kurapatwy podczas grożącego im niebezpieczeństwa. Nieufnością lud się nie obroni przed złem, a jedynie rozumną wiarą we własne siły i w potęgę gromady! — Zresztą nieufność nie tylko sprzeciwia się postępowi w dobre, — ale sama bardzo troskliwie osłania dużo szelmstwa, popełnianego przez nieufających...

Czy sądzisz, czytelniku, że lepsi ludzie uparcie obstają przy swej nieufności? Bynajmniej. Toć trafnie poucza znane przysłowie: „Każdy sady innych podług siebie”... Kto już ładajaki, myśli, że i każdy taki”... Im kto lepszy moralnie, tem bywa ostrożniejszy, powściągliwszy w sądzeniu o innych.

Lud — powiadamy — jest bardzo nieufny, podejrzliwy. Zgoda, — ale należy koniecznie nadmienić, że takim jest *nie wszystkim lud!* Tylko część jego, wprawdzie znacznie większa, ale najlichsza, najciemniejsza. I gdy uważniej zaczniemy przypatrywać się postępkom tej części ludu podejrzliwej, nieufnej, dostrzeżemy, że sama, istotnie, zasługuje na *niezaufanie*... Cóż się tam dzieje? Oto sama prowadzi częstokroć bardzo niesumienne spekulacje. Przykładów bodaj kilka trzeba wyszczególnić. Oczywiście nie wymieniamy nazwisk i podajemy zdarzenia prawdziwe nie z pogłosek jedynie, ale z pierwszej ręki otrzymane. I tak: pewien dwór miał jeszcze kilka korcy żyta do zbycia. Żyd dowiedział się o tem, bo o czem nie dowiedzą się żydzi? Oni są zawsze wszystkowiedzący. Oto żyd wpadł do dworu i dawał właścicielowi 45 rb. za korzec. Jakoś na tę chwilę wszedł do onego dworu włościanin znajomy z sąsiedniej wioski. Po przywi-

taniu z właścicielem poprosił o odstąpienie mu żyta „na chleb dla dzieci”, bo ma w domu „straszna biedę”. Oczywiście, właściciel wyrzucił żyda za drzwi, a temu włościaninowi odprzedal po 25 rb. korzec, to znaczy — opuścił mu na korcu 20 rb. Uradowany włościanin parę korcy żyta nabytych wiezie *niby* do domu, ale tylko *niby*, bo wnet nabyte żyto *odprzedaje temu samemu żydowi* i, rozumie się, po cenie znacznie wyższej, bo po 45 rubli!

Jeszcze przykład: włościanka, wdowa, jedzie do sąsiedniej wsi do pewnego gospodarza i błaga go o odprzedanie jej kilku korcy kartofli na wyżywienie swej rodziny i trzody, bo radaby coś sobie uchować w tych ciężkich czasach. Gospodarz ulitował się nad biedną wdową — odstąpił jej 10 korcy kartofli, licząc tylko po 3 rb. za korzec, gdy od innych brał po 6 rb! Wdzięczna kobieta nie miała słów na podziękowanie. Błogosławiła zancemu, miłosiernemu gospodarzowi, odieżdżając od niego z kartoflami. Ale ni — zawiozła ich do siebie, tylko prosto podążyła z niemi do miasteczka i sprzedała żydom po sześć rubelków za korzec, czyli, że na miłosierdziu gospodarza naczysto zarobiła trzydzieści rubelków. — Jedzie pewien gospodarz do wsi odległej od niego o dobre dwie mile i nabywa tam po znajomości, trzy korce żyta po 20 rubelków za korzec. I już po drodze zdążył je sprzedać innemu włościaninowi po 30 rb, czyli, że *lekko*, jak się to zwykło z zadowoleniem mówić, zarobił odrazu *trzydzieści rubelków*. Takie interesy doskonale mają rozgłos i budzą apetyt w każdym, łaknącym grosza w byle jaki sposób! Istnieje więc skryty handel. Głodny płaci, a spekulanci zarabiają na pustym jego żołądku. Wśród włościan handlujących uwijają się żydkowie i pospółu robią niezłe interesy. Wobec tego cóż dziwnego, że żydzi pielęgnują w duszy chłopca polskiego jad niechęci do Polski i do jednoczenia się w gromadę? I nadto cóż dziwnego, że niejeden chłop nikomu nie ufa, każdego podejrzewa, bo przedewszystkiem sam radby zarobić, nie lubi, by mu ktokolwiek przeszkadzał w jego spekulacjach. A na takie spekulacje nie pozwoliłaby troska o odbudowę Polski i gromada spójona hasłem: „idźmy kupą do lepszego jutra!”...

Zatem nieufność tych i owych włościan wynika z sobkosciej ich rachuby. Każdy z nich ma na widoku tylko swoje korzyści, a nie korzyści ojczyzny i współbraci. Jeden z takich, mój znajomy, gdy handlując zbożem wspólnie z żydami, usłyszał od swego sąsiada, człeką uczciwego, upomnienie, że się nie godzi wyzyskiwać głodnych, odrzekł głośno, dobitnie i jadowicie: „a mnie djabli co do tego, że ktoś głodny i ubogi, — niech zdycha, kiedy nie ma za co kupić chleba”... Zapewne, tacy, dajmy na to — i daj Boże, są jeszcze między nami nieliczni”... Ale są i mnoży się ich liczba wobec szerzącego się rozgłosu o złotych interesach w handlu potajemnym. Nie można przeto lekko poddawać się nieufności ludu, ale wykorzenić ją śmiało, stanowczo, budząc w duszy chłopca polskiego ukochanie Polski i wiarę w potęgę zjednoczo-

nego ludu dla dobra ojczyzny i narodu! Musimy przez doskonalenie siebie moralne i przez przepiękną oświatę dążyć do tej mety, żeby każdy z nas w szczęściu wszystkich widział swoje szczęście.

Ks. A Kwiatkowski.



SERCE MATKI.

*Znacie wy dzieci serduszko Matki?
Wicież, co w głębi swej mieści?
Ilu niebiańskich pociech zadatku,
I jaki ogrom boleści?*

*Jeżeli dzieci dobre i grzeczne,
Wnet serce bije w takt żywszy;
Dzieląc wokół blaski słoneczne
Swojej miłości najtkliwszej.*

*Lecz kiedy dziecko źle Mamie życzy,
Gdy dziatwa krnąbna, złośliwa:
Serce jej niby kielich goryczy
Po brzegi łzami optywa,*

*A jak to serce dobre i święte,
Jakie najczystsze na świecie
Jaką miłością dla was przejęte
Najlepiej same to wiecie.*

*Ileż to razy, kiedyście drżały
Przed gniewem ojca spłoszone;
To serce Matki — drobiazgu mały,
Brało cię w swoją obronę.*

*Lub gdyś na karę zasłużył nową
I stał ja trusia w kąciku,
Kto przebaczenia niósł tobie słowo
I pocałunków bez liku?*

*U kogo znajdziesz więcej rozkoszy?
Czulej pieszczące cię dłonie?
I gdzie ci z oczek nikt snu nie spłoszy,
Jak nie u Matki na łonie?*

*O, po dniu białym, z światłem jarzącem,
Dzieci kochane, jedyne!
Takiego skarbu szukać pod słońcem,
Jakiem jest serce Matczyne!*

*Bo gdy cię wszyscy opuszczą w świecie,
Gdy ginąc przyjdzie ci marnie.
Jeszcze i wtedy — zbląkane dziecię,
Serce cię Matki przygarnie!*

Władysław Bolza.

Modlitwa o deszcz.

Wszego dobrego Dawco i Szafarzu wieczny,
Tobie ziemia spalona przez ogień słoneczny
Modli się dżdzu i smętne zioła pochyłone
I nadzieja oraczów: zboża upragnione.
Sciśnij wilgotne chmury świętą ręką swoją,
A one suchą ziemię i drzewa napoją
Ogniem zdjęte. O, który z suchej skały zdroje
Niesłuchanie pobudzasz, okaż dary swoje.
Ty nocną rosę spuszczasz, Ty dostatkiem bojnym
Żywej wody dodawasz rzekom niespokojnym,
Ty przepaści nasycasz i łakome morze,
Stąd gwiazdy żywność mają i ogniście zorze,
Kiedy Ty chcesz, wszystek świat powodzią zatonię
A kiedy chcesz, od ognia jako pióro spłonie.

Jan Kochanowski.

Jaś nie doczekał...

W ubogiej izbie zjawił się gość błogi
Słoneczny promień wiosenny, majowy,
Wszedł przez okienko z szybami drobnemi
I jasnym snopem rzucił się po ziemi;
Jak złota strzała padł na stół sosnowy
Na deski starej, spaczonyj podłogi
Na tapczan nędzny, zasłany barłogiem,
Na komin pusty, zimny, bez ogniska —
Gdy ludzie głodni, nędzni, opuszczeni.

W takiej to izbie, w niedzielny poranek wiosenny, u ściany pociemniałej i wilgotnej, po której zamróz kroplami ociekał, siedział ubogi wyrobnik. Rękawem grubej koszuli ocierał łzę, co po jego zgasłej twarzy toczyła się drżąca a taka mętna i ciężka, jakby nie kropelką wody była, ale kamieniem, wyrzuconym z duszy. Od czasu do czasu poglądał mgławem okiem, na tę jasność ożywczą, którą złote słońce po izbie siało i szeptał z cichym tłumionym westchnieniem: „Jaś nie doczekał!”

Oj! nie doczekał jego Jaśko — jednak wiosennego ciepła. Nie doczekał!..

Ciężką była zima tego roku wojny. Mroźne podmuchy północnych wichrów dreszczem wstrząsały ubogie ściany domostwa, wśród których nędzarz tak rzadko jest syty, takie biedne łachmany nosi na grzbiecie, tak ciężko musi pracować na wyżywienie rodziny. Na kominie miejskiego robotnika nie co dnia ogień rozniecano lichy przez mroźne, zimowe miesiące, nie co dzień ciepłą gotowano strawę. Często bywało, ojciec przychodził wieczorami z roboty, błądy, bezsilny, nie mogąc już dźwignąć siekiery, ni piły i padł spocząć jak martwy, na tapczan. A tymczasem, Jaś jego, jasnowłose, ośmioletnie chłopię, przez matkę w roku zeszyłym odumarł, coraz to cichszy, coraz bledszy od pewnego czasu, zjadł kęs chleba i siadł na ziemi, patrząc smutnymi oczami na głodnego ojca, bo się poskarżyć nie śmiał, że i on także jest głodny...

Aż przyszedł wreszcie dzień, że Jasiek z tapczana nie podniósł się wcale. Powracającego z roboty ojca zdaleka przywitał uśmiechem. Wówczas przeląkł się nędzarz, schwycił dziecko w ramiona, całą noc własnym oddechem rozgrzewał, bo mu się zdawało, że kona i stygnie biedactwo...

Modlił się, płakał, o ściany tłukł głowę, ale łązy marzły jeno i jako perły stały. Tak minęła noc.

Nad ranem wyrobnik zastawił swą piłę, porząbał stołek, napalił ognisko, przyzwał doktora, ale ten lekarz nie uratował umierającej dziewczyny.

Zobaczywszy izbę ciasną, duszną, straszliwie wilgotną, oświadczył, że powietrze w niej jest zgniłe, że dziecku trzeba dać lepsze wygodę, stancję obszerną, jasną i ogrzaną, ciepłe okrycie, a przytem codziennie posiłek pożywny i gorący. Upewnił wreszcie, że jeżeli chłopczyzna wiosny doczeka, to słońce wzmocni go pewnością. I wyszedł.

Długo stał nieszczęśliwy ojciec, jak zmarł, w drzwi wlepiwszy błyszczące źrenice.

A wiatr tymczasem rozmiatał z kominu iskry i dymy i siekał niemi w potrząskane szyby okienka. Błada twarz chorego Jaśka siniała coraz bardziej; raz jeszcze ostatni sztywniejące ręczęta wyciągnął ku ojcu, rzucił się... drobne wargi mu zadrgały..

A śmierć srebrzystą szatą owinięta, wzięła go z sobą w tajemniczą drogę..

Promienia słońca już Jaś nie doczekał..

Kreśląc dzisiaj powyższe słowa do was się zwracam myślą kobiety — matki Polskie, do waszych serc macierzyńskich pukam. Wszak tydzień nie minął jeszcze, jak nad krajem naszym biegło wołanie żalosne:

— Ratujmy dzieci!

Po miastach i wsiach urządzano na ten cel zabawy, sprzedawano nalepki, obrazki, rozpisywano odezwy, bo ludzie zaci i litościwi pragnęli tym sposobem wzruszyć jaknajliczniejsze masy rodaków, uzyskać ich pomoc i opiekę dla biednej dziatwy, którą obowiązek chrześcijański każe ratować przed głodową śmiercią.

Trzeci już rok mija odkąd wojna pustoszy Polską ziemię. Setki Polaków służy w wojsku, jedni polegli, niektórzy wrócili niedoleźnymi kalekami, inni wyjechali w świat i dostać się z powrotem nie mogą, inni jeszcze stracili dobytek w zawierusze i boju. Okrutna wojna nie ustaje, a w dobie obecnej nowy mocarz powiększył szereg walczących.

Mocarzem tym jest głód. Zeszłoroczne zbiory wyczerpują się wskutek nadzwyczajnych warunków, wytworzonych przez wojnę; kraj Polski choć żyzny i bogaty nie jest w stanie wyżywić swej ludności i przednowek staje przed nami jako blade widmo nędzy. Po wsiach, pomimo biedy, wielu trudności i braków o wiele lepiej się jeszcze dzieje, aniżeli w miasteczkach i miastach większych. Kto posiada jeden zagon ziemi, ten ma prawo nazywać się bogaczem, w porównaniu z ludnością bezrolną. Ma on zawsze możliwość dostarczenia rodzinie mąki, mleka, ziemniaków, choć w ilości ograniczonej i szczupłej, ale pewnych, podczas gdy dla wyrobnika fabrycznego, stroża, dorożkarza, rzemieślnika, urzędnika niższego, — ale ten sam ziemniak, lub kawałek chleba stał się dzisiaj prawie niedościgłym marzeniem. Zarobek po najcięższej pracy i całodziennym trudzie traci swą wartość istotną, bo spracowany ojciec nie nakarmi dzieci głodnych papierową koroną, a wymienić jej na produkty pierwszej potrzeby nie ma możliwości.

To też w zaułkach miast szerzą się choroby, śmiertelność dziesiątkuje mieszkańców, bezowocność trudów odejmuje ludziom siły i ochotę do pracy. Na ulicach coraz częściej spotkać można blade, wychudłe twarze, — oczy gorączkowo błyszczące, wargi spalone pragnieniem. Pod ścianami domów tuła się matki, obarczone drobną dziatwą i nieśmiało wyciągają drżące dłonie, już nie o pieniądze prosząc, ale o kawałek chleba.

Marja Janina.

(d. c. n.)

Zle się skończy!

Gdy młoda kobieta idzie „na swoje“, gromadzi już zawczasu wszystko, co jej się tam przydać może. Jeśli ma przebywać na wsi, uczy się od matki lub nawet sąsiadek, czasami i z gazety, jak sobie w gospodarstwie radzić. Już wiele kobiet zrozumiało, że się tego uczyć trzeba, że się to oplaci. I uczą się kobieciny, by groszem zarobionym w ten sposób przysporzyć majątku, lub opatrzyć domowe potrzeby. Mają już w wielu miejscach rasowe gniazda drobiu, zarodowe świnię, krowy. Uczą się, jak hodować cielęta, prosięta, indyczęta. Ale jak wychowywać najdoskonalszy twór Boży — człowieka, który powinien być chlubą gniazda rodzianego, obywatelom kraju, jednostką, która ma przysporzyć chwały Bożej na ziemi, tego się kobiety nie uczą, a takich, co rozumieją, że uczyć się trzeba, jest niezmiernie mało.

O wychowaniu dzieci piszą już sporo, często też o tem mówią na zebraniach kółkowych. Ale młoda dziewczyna przed pójściem za mąż o wychowaniu dzieci uczyć się nie może, bo to przecież „nie pasuje“. Nawet jej na myśl nie przyjdzie, by się tego uczyć. A gdyby przyszło, gdyby jakim cudownym sposobem myśl ta święta do duszy się zakradła, uczyłyby się musiała pokryjomu, by uniknąć drwin, docinków i przesładowania. Kiedy więc przyszła matka jeszcze jest panną, uczyć się o wychowaniu dzieci nie może, a kiedy już wyszła za mąż i jest gospodynią, — też nie może, bo znowu brak czasu. Zresztą z dzieciaków niema dochodu, jak z kurcząt, prosiąt i innych gospodarskich wytworów. Gdy zapracowane matczyńsko nauczy dziecinę całego pacierza, gdy ją żywi i odziewa, a jeszcze od czasu do czasu w przystępie gniewu stłucze — jak to mówią — na kwaśne jabłko, to już wszystko, co matka niejedna zrobić potrafi. Ponadto nie! Dzieci więc nasze są przeważnie opuszczone i chowają się same. Same? Oj, żebyż to same! Kto wie, czyby nawet lepiej na tem nie wyszły. Ale naprawdę, ile to nieszczesne dzieciny napatrzają się i nasłuchają! Jak wiele mają złych przykładów od starszych naokoło, a nieraz od własnych nawet rodziców! Przy dzieciach starsi się kłócą, krzywdzą, procesują, codzienne popełniają grzechy i najgorsze zbrodnie. Spotyka się to co krok i na wsi i w mieście, u zamożnych i u biedaków, ludzi nieoświeconych i u takich, co niby naukę mają, wszędzie, wszędzie! I dziwić się tu, że dzieci niepocziwe, że młodzież coraz gorsza, że zła wśród nas dużo?

A kto tak bez litości wypędza dzieci na pasionkę od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni, gdzie dziatwa, ta przyszłość i nadzieja narodu, całe dnie żyje z bydłem i z nudów popełnia różne grzeszne zbytki, zaprawiając się do złego? Kto je posyła w mieście z workami na kradzież węgla? Kto stroi dzieci, jak małpeczki na pokaz? Kto bierze małeństwa niewinne na zabawy pi-

jackie i poi je trucizną? Przez niedbałe wychowywanie dzieci, brak opieki nad nimi i złe przykłady naokoło szerzy się zło coraz groźniejsze...

Sporo już ludzi pracuje nad podniesieniem narodu, ale robota idzie jak z kamienia. Jedni robią, drudzy psują. Jedni mozolą się do potu, by Ojczyznę dźwignąć, drudzy spychają ją w przepaść! A byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie wyrażna opieka Boża, która sprawia to, że nie wszystkie zaniedbane dzieci giną w odmęcie zgorzenia i brudu. Z pomiędzy tych, które żyły bez żadnej opieki i w najgorszym otoczeniu, wyrastają nieraz ludzie zupełnie porządni, a zdarżają się wśród nich czasami tak czyste, szlachetne dusze, że aż dziw nad dziwy! Istny to cud Boski taka złota dusza, której się rdza nie ima. Cudów jednak takich i Bóg nam odmówi, jeśli sprawa wychowania dalej zle będzie stała.

Franciszka Gensówna.

Prośba do oświeconych włościan.

W kraju naszym dzięki Bogu, jest już spora liczba oświeconych i rozumnnych włościan, tylko, że ci włościanie są rozsiani po całym kraju wśród szerokich mas, przeważnie ciemnych i z tego powodu nikną w tych masach. A właśnie o to chodzi, żeby każdy z tych oświeconych włościan wziął sobie za zadanie w najbliższej swojej okolicy oświecać swoich współbraci. Ci oświeceni włościanie powinni stać się szercielami światła wśród swoich najbliższych, bo nikt tak nie zna usposobienia ludu, jak ci oświeceni włościanie, bo przecież ustawicznie wśród ludu przebywają.

Prawda, że to jest ciężka i nieraz bardzo przykra praca, gdy się naprzykład słyzy takie zdanie, wygłaszane przez ciemnych ludzi, że wojnę wywołały kółka rolnicze i pokazy — i wiele innych bredni, których tu nie warto powtarzać, bo wam, bracia włościanie, wszystko to wiadome doskonale, gdyż niejako ciągle różne brednie wpadają wam w uszy. Gdy się widzi dookoła siebie ciemnotę, niejednemu, mniej wytrwałemu, ręce opadają! Ale nie wolno rąk opuszczać, bo tu chodzi o naszą przyszłość, o przyszłość naszej drogiej Ojczyzny, bo jaki będzie lud, — taką będzie Ojczyzna! Oświata naszego ludu podniesie go nie tylko moralnie, ale i materialnie.

Dotąd u nas włościanin, jeśli miał kilku synów, musiał starać się o grunt, i jeśli był zamożniejszy, to dobrze, kupował ziemię, obsadzał synów na gospodarstwach i wszystko niby było w porządku. Ale przecież nie każdy ojciec mógł to zrobić, zwłaszcza, jeśli miał kilku synów; wtedy dzielił swoją ojcowiznę na drobne działki, co nie jest pożądane, bo stąd wynikają swary, kłótnie, a ojciec, patrząc na to wszystko, musi nieraz gorzko zapłakać na swoje dzieci. A je-

zeli ojciec małą miał gospodarkę, to synowie szli do Ameryki, do Prus na zarobek wysługiwać się obcym i za to jeszcze narażać się na poniewierkę i wzgardę, jakgdyby ziemia nasza nie była w stanie wyżywić swoich dzieci. Nie zawsze, rozumie się, byli winni temu wszystkiemu Polacy, bo nie byliśmy panami i gospodarzami w swojej własnej Ojczyźnie. Rządzili nami obcy i nie tylko obcy, ale wrogowie naszego narodu, którzy świadomie dążyli do zgębienia Polaków.

Otóż od tej chwili, kiedy naród sam o sobie zacznie myśleć i sam zacznie się rządzić, — bieg życia narodowego znacznej ulegnie zmianie, wszystkie bowiem urzędy od najwyższych do najniższych zostaną obsadzone przez Polaków, a dawniej wyłącznie należały do Moskali. Lecz do tego wszystkiego trzeba nauki, bo bez nauki — ani rusz! Dziś chyba nikt już nie odważy się powtarzać, że nauka nie daje chleba. Kraj nasz może wyżywić daleko więcej mieszkańców, niż ich posiada obecnie, ma bowiem ogromne bogactwa, ale trzeba je umieć wydobywać, więc niezbędna jest nauka, i nie tylko nauka, bo i uczciwość i sumienne wypełnianie obowiązków swoich. Największe zło, jakie nam wrogowie wyrządzili, — to znieprawili w nas duszę, bardzo wielu naszych rodaków zepsuli moralnie. Dziś trzeba nam z tego się otrząsnąć, trzeba młode pokolenie wychować na prawdziwych obywateli kraju! Otóż dlatego wszyscy włościanie oświeceni powinni nie ustawać w pracy nad uświadamianiem swoich sąsiadów, znajomych. I to bynajmniej nie jest zanadto trudne, zwłaszcza obecnie, kiedy nam już nikt nie przeszkadza, kiedy nam wolno po wsiach zakładać kółka Macierzy Szkolnej, a w nich nie tylko szkoły, ale i czytelnie. Dziś mamy już tyle dobrych i pożytecznych książek, oraz gazet, trzeba je tylko jaknajpilniej rozpowszechnić. A przede wszystkim należy zwrócić jaknajbaczniejszą uwagę na nasze szkolnictwo ludowe, na te liczne rzesze dzieci, które za lat kilkanaście staną się obywatelami kraju, więc wypada nie tylko ich nauczyć, ale też trzeba wychować na dobrych, pożytecznych ludzi. Gwoli tego nie powinniśmy żałować pieniędzy na ochronki i szkoły, bo pieniądze, wydane na naukę, przyniosą w przyszłości olbrzymie korzyści, które nie dadzą się obliczyć na pieniądze. A przecież u włościan nie brak obecnie pieniędzy. Gdybyśmy wszyscy rozumieli, ile pożytku materialnego i moralnego daje nauka, pewnością chętnie i skwapliwie zakładalibyśmy nie tylko szkoły początkowe, ale nawet szkoły średnie, czyli tak zwane gimnazja, w dużych wsiach i miasteczkach. Ja wierzę, że wprędce przyjdzie do tego, tylko wy, Bracia włościanie oświeceni, nie ustawajcie w pracy!

Warszawa, 9 VI 1917.
dla „Nowej Jutrzenki”.

Antrezej Maj.

LISTY CZYTELNIKÓW.

Wola Gałęzowska.

Jak biczem machnął — już Maj poza nami! Zostały nam tylko błogie wspomnienia po uroczystościach religijnych i narodowych w maju odprawianych. Wiosna uroczą budziła w nas zachwyty — aż nagle cios bolesny zranił nam serce. Oto 29 Maja wieczorem w naszej wsi Woli Gałęzowskiej (pow. Lubelski, gmina Bychawa) rozstał się z tym światem młodzieniec wieśniaczy, Stanisław Flis, wielkich zdolności stolarz i bardzo zacny człowiek. Ojciec, sługa dworski, odumarł go przed laty. Pozostała matka z drobnym rodzeństwem już całego opiekuna i podporę swoją widziała w młodziutkim Stanisławie. Ależ nietylko matkę, bo i ciotkę wdowę z małymi dziećmi starał się wedle możności ratować. Jednakże nie tylko dla swojej rodziny był dobrym synem, bo dla kraju, doprawdy, żywił serdeczną miłość, jako dobry obywatel.

S. p. Stanisław, kiedy był małym chłopcem, uczęszczał do dworskiej ochrony, utrzymywanej przez państwo Przewłockich. Jako bardzo zdolny, uczył się pilnie, a szczególniejszy okazywał pociąg do historii. Potem, w dalszych latach, chociaż już musiał ciężko pracować na kawałek chleba, jednak w godzinach wolnych brał książkę do ręki, czytywał chętnie. Książki miłował, osobliwie lubił czytać o dawnych dziejach. Gdyśmy z nim rozmawiali, odzywał się zawsze serdecznie o ciężkiej nievoli ojczyzny, wierzył w jej pomyślniejszą przyszłość i z niejednego oświadczenia jego można było przypuszczać, że dla dobra Ojczyzny gotów był nawet oddać w ofierze swe życie.

Wybuchła wojna. On wtedy miał nie więcej nad lat 17, a jednak bardzo się interesował jej przebiegiem. Miał ochotę wstąpić do oddziału strzelców polskich, lecz ciągle bacznie wniakał, jaki obrót biorą sprawy nasze. Nareszcie w roku 1916 postanowił wstąpić do Legionów, lecz, niestety, już lekarz, zbadawszy stan zdrowia jego, nie dał na to pozwolenia. Zmartwił się tem bardzo, ale pocieszał się nadzieją, że jednak zdrowie odzyska i kiedyś jeszcze stanie w szeregach obrońców ojczyzny. Ustawicznie interesował się sprawami narodowymi, czytywał i słuchał pilnie. Żadnej uroczystości, pogadanki w okolicy nie opuścił. Zawsze był jednym z pierwszych w gronie młodzieży ożywionej świętem uczuciem miłości ojczyzny. Sam cieszył się nadzieją, że ujrzy lepsze czasy Polski i w naszych sercach żyła nadzieja, że on stanie się dzielnym pracownikiem dla dobra Polski, aż to nieubłagana choroba piersiowa, jak robak ukryty, zrujnowała doszczętnie siły jego, legł na łożu, aby więcej z niego nie powstać. Długo chorował i ciągle zdawało się, że jeszcze powróci do pracy. Niestety, były czcze domysły. W końcu Maja zasnął na wieki. Zdawało się obecnym, że nie umarł, ale tylko zasnął, jak dziecko na rękach matki. I matka w pierwszej chwili mniemała, że

tylko zasnął. Wielka rozpacz ogarnęła dobrą i nieszczęśliwą matkę, a wszyscy znajomi i towarzysze na wieść o śmierci jego, uczuli żal serdeczny. Szkoda zacnego towarzysza, poczciwego syna i kochającego obywatela.

Na drogę wieczności przygotował się po doźnie, bo sercem czcił Boga i pragnął duszę swoją zasilić sakramentami. Parokrotnie zapraszał do siebie kapłana dla pokrzepienia duszy swojej pociechami religijnymi, to też odszedł spokojnie do wieczności. Na pogrzeb jego zebrało się bardzo dużo ludzi ze wsi i z dworu. Młodzież uwiła wielki wieniec. Na wstępie do Bychawy dziewczęta wzięły na swe ramiona trumnę ze zwłokami ś. p. Stanisława i zniosły ją do kościoła. A i następnego dnia po nabożeństwie również młodzież zaniósła na swych barkach ciało jego na cmentarz. W pogrzebie uczestniczyło bardzo dużo ludzi. Wszyscy żalowali dobrego młodzieńca, który zgasł bardzo wcześnie, zaledwo w 20 roku życia. Jednak mamy nadzieję, że ś. p. Stanisław, jakkolwiek nie mógł tu na ziemi usłużyć ofiarą Ojczyźnie, — zdoła tam w Niebie uprosić u Boga błogosławieństwo dla zmartwychwstającej Polski niepodległej!

Chłop Kolega.

Z Sulowa (pow. Janowski) piszą do nas: Urodzaje w tym roku bardzo lichy się zapowiadały, bo wiosna była zbyt sucha i zimna. Ale teraz odmieniło się wszystko. Przyszły deszcze i ciepło i zaraz roślinność podniosła się do góry. Żyto wyrosło bardzo duże, jęczmień, owies ładnie wyglądają. Ale mieliśmy w okolicy pożar. Na Kolonji Góry dnia 3 Czerwca piękna była pogoda, aż tu o godzinie 5-ej po południu nadchodzi chmura z grzmotami. Piorun uderzył w stodołę, pożar w jednej chwili ogarnął ją i spalił do szczytu.

Młody Teofil Sar.

N O W I N Y.

Trzecie kursy uzupełniające dla nauczycieli ludowych przy pierwszym Oddziale Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego w Lublinie trwać będą 3 tygodnie od 2 Lipca do 21 Lipca r. b. w dwóch równoległych częściach. *Pierwsza część:* Wykłady z dziedziny języka i historii: 1) gramatyka, 2) literatura 19-go wieku, 3) historia Polski przed — iporozbiorową, 4) zajęcia praktyczne z gramatyki polskiej. Ogółem 72 godziny. *Druga część:* Wykłady z przyrody żywej: 1) botanika, 2) zoologia, 3) anatomja i fizjologia, 4) hygiena, 5) biologia, 6) zajęcia praktyczne z botaniki i zoologii. Ogółem 72 godziny. Wykłady prowadzone będą metodą pogładową i będą ilustrowane przezroczami, pokazami, oraz doświadczeniami. Słuchacze zostaną zaznajomieni również z odpowiednią literaturą, która umo-

żliwi im i ułatwi dalsze samokształcenie. Prócz wykładów systematycznych, zamierzone są luźne odczyty z dziedziny zagadnień społeczno-narodowych, związanych z kulturalną działalnością nauczyciela na wsi, jak również zebrania dyskusyjne i towarzyskie. Na czas trwania kursów zorganizowana zostanie specjalna szkoła ćwiczeń, w której słuchacze odbywać będą lekcje próbne i wzorowe w ilości około 50. Podczas 13 godzin dyskusji nad lekcjami próbnymi udzielane będą praktyczne wiadomości z dziedziny metodyki przedmiotów wykładowych w szkole ludowej. Kursy rozpoczną się dnia 2 Lipca o godzinie 9-ej rano w lokalu szkoły Realnej przy ulicy Ogrodowej Nr. 10 w Lublinie. Opłata za cały kurs wyniesie 12 koron od nieczłonków, a 8 koron od członków Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego. Słuchacze otrzymują mieszkanie bezpłatne, ale z powodu trudności żywnościowej w Lublinie niezbędnym jest, by uczestnicy kursów przywieźli z sobą chleb, kaszę, mąkę, słoninę i inne artykuły spożywcze, a na przywiezienie ich miejscowe Rady szkolne wyjedną poszczególne pozwolenie u władz powiatowych. Nadto słuchacze powinni przywieźć z sobą pościel i bieliznę dostateczną. Zapisy przyjmuje kancelarja I oddziału w Lublinie, ul. Ogrodowa 10, codziennie od godz. 5-ej do 7-ej po południu. Jednak zapisy mogą być czynione również i listownie.

Kursy wakacyjne dla nauczycieli ludowych w Hrubieszowie. Staraniem Zarządu miejscowego Koła Polskiej Macierzy Szkolnej oraz oddziału Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego zostają zorganizowane w Hrubieszowie 3-tygodniowe kursy wakacyjne dla nauczycieli ludowych powiatu Hrubieszowskiego i Tomaszowskiego.

Program kursów obejmie wykłady teoretyczne oraz zajęcia praktyczne w szkole ćwiczeń.

Wykładane będą: język polski, literatura, historia Polski porozbiorowej, psychologia, dydaktyka, pedagogika, historia pedagogiki, historia szkolnictwa w Polsce, Polska współczesna, oraz metodyka wykładu religijji, elementarz języka polskiego, historii, arytmetyki, pogadanek przyrodniczych, geografji i kaligrafji.

Wykłady oparte będą na metodzie pogładowej i będą ilustrowane przezroczami i pokazami. Słuchaczom podana będzie również odpowiednia literatura, która umożliwi im dalsze samokształcenie.

Wykładać będą profesorowie Kursów pedagogicznych dla kobiet w Lublinie, a mianowicie: pp. dyrektor J. Borkowski, J. Dylewski, K. Juszcakowski, Z. Kucharski, ks. F. Krasucki, J. Świerczewski, L. Wołodkówna. Inspektorem kursów będzie ks. J. Sadowski, prefekt szkół w Hrubieszowie. W szkole ćwiczeń, specjalnie zorganizowanej dla kursów, codziennie odbywać się będą lekcje wzorowe i próbne, połączone z dyskusją, oceną krytyczną i udzielaniem wskázówek metodycznych.

Wykłady rozpoczną się d. 2 lipca o godzinie 10-ej rano i trwać będą do d. 21 lipca włącznie. Zarząd Koła Macierzy i Oddziału Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego, łącznie z miejscowym Komitetem Ratunkowym czynią usilne starania, aby słuchaczom zapewnić bezpłatne mieszkanie, oraz zabezpieczyć im wyżywienie po możliwie niskiej cenie.

Opłata za cały kurs wyniesie 10 kor. Poduszkę, kołdrę, siennik i bieliznę pościelową każdy słuchacz winien przywieźć ze sobą.

Zapisy przyjmuje inspektor kursów ks. Sadowski; zgłoszenia mogą być nadsyłane listownie.

KLEMENS JUNOSZA.

NA CHLEBIE U DZIECI.

Grędzikowski wziął miarkę blaszaną i przystąpił do Pypcia.

— Wincenty! — zawołał, — Wincenty! słuchajcie-no dobrze i uważajcie sobie, na ten przykład. Nie tacy ludzie byli dziedzictwo swoje między dziećmi podzielili, jak stoi na ten przykład, choćby na to mówiący, i w Piśmie. Noe, co za czasów świata zatopienia ze zwierzęty czystymi i na ten przykład nieczystymi, z gadziną i inszem robactwem w korabiu pływający, trzech synów miał — też się z nimi dzielił; a choć jeden gałgan był i z ojca, który, na ten przykład, krzynekę sobie podpił, przekpiwanie czynił — dlatego i jemu droga zagrodzona nie była... też mógł sobie brać świata, ile chciał. Tedy i ty Wicusiu, przyjacielu, mankolji w sobie nie dopuszczaj — jeno pij, a potem układz się spać, jako na ten przykład Noe.

— Sprawiedliwie Grędzikowski powiadają i nabożnie, zawdy nabożnie! — rzekła z westchnieniem Pypciowa.

— Oj, oj, żebym ja tak zdrów nie był, jak to nabożne gadanie jest! — odezwał się Joel.

Grędzikowski brwi zmarszczył i rzekł:

— No, już podobniej byłoby koniowi, na ten przykład, o wódce dowodzić, aniżeli tobie, mój panie Joelu, o nabożności.

— Tfy! Co to wy, panie Grędzikowski, wzięliście nabożność w arendę? czy bez was to już nie wolno człowiekowi nabożnym być? Aj waj! jaki mi rabin!

— Nie trzeba tu żadnego porównania, rabin to rabin, a ja sobie, na ten przykład, ja; a gdyby zaś rabin wiedział, ile ty Joelku, na ten przykład, do wódki paskudztwa wszelakiego dosypujesz, toby ci też inaczej nie rzekł, tylko...

— No, co tylko? co to jest tylko!

— Tylko by ci rzekł jako jesteś cygan pierwszej próby i kręciciel, który, że jeszcze na tym świecie chodzi, to tylko, na ten przykład, cud jakis.

— Ja was proszę, panie Grędzikowski, nie powiadajcie wy za dużo. Co za dużo, to nie zdrowo jest... ja wam mówię.

— Prawdę, kochanku, mówisz: co za dużo — to niezdrowo; i według tego, na ten przykład, Joelku, nie przysypuj dużo wapna, bo naród poczciwy może się pochorować, a ty, na ten przykład, możesz, nie przymierzając, pójść do kozy.

— Panie Onufry!

— Nie, nie, nie pierwszyczna nam takiego widzieć! Był tu przed tobą Mendel, stateczny żyd, twojej Bruchy ojciec — on też różne, na ten przykład, różności do wódki dosypywał, ale ty, Joelku zadużo...

— Co to jest? co to za gadanie jest?

— To widzisz, na ten przykład, trafiłeś na znawcę.

Aj waj, taki znawca! Jak Onufry sobie upije, to Onufry myśli, że jest znawca; a Onufry wcale nie jest znawca, tylko Onufry wielki pijak jest!

— Cicho, ty niedowiarku!

— Ja nie wiem, kto tu niedowiarek? Czy ja, co powiadam, że wódka dobra jest — czy Onufry, co nie chce temu wiary dać!?

Ignac do rozmowy się wmixzał.

— Panie Onufry! — zawołał, — dajcie mu spokój! Kto tam dojdzie, co on sypie i siła czego sypie?... Niech go marność ogarną! Oto lepiej ojca nam rozruszajcie, bo ojciec łeb zwiesił i tak siedzą markotni, jakby im, na to mówiący, najpiękniejsza krowa zdechła.

— Oj, zdechły, wszystkie zdechły! — jęknął Pypeć, — boć już ani gospodarstwa ja nie mam, ani żadnego inwentarza nie mam, ani chałupy nie mam, ani stodoły nie mam...

— Tak, — powtórzył Grędzikowski, — dziś, Pypciu, nic nie macie, ani na ten przykład wołu, ani osła, ani służebnicy, ani żadnej rzeczy.

— Macie wódkę w garncu, — odezwał się Florek.

— A juści, tyle naszego: do was, panie Onufry!

— Ha no, kiedy tak, to na ten przykład, owszem. Nie dopuszczaj, mój Wincenty, do siebie smutku, bo stoi w Piśmie, jako nie samym chlebem, na ten przykład, człowiek żyje.

— Ale...

I znowu stoi, jako są, na ten przykład ptaszki powietrzne, które jako nie siejące, ani orzące...

— Zawdy markotno.

— Już się stało... markotno, to prawda, ale przynajmniej ta pociecha, że macie na ten przykład dzieci postanowione.

— Dyć postanowione, jeno co Florek...

— Nie frasujcie się, tatulu, ja też sobie postanowienie duchem zrobię.

— Ożenisz się?

— A juści czego mam czekać? Albo to mi nie czas?

— I pewnie, — wtrącił Grędzikowski — ożenisz się, to się odmienisz, na ten przykład.

— Albo ja wam zły, co mi odmiany zycie?

— Zły nie jesteś, mój Florciu. aleś zawdy szelma...

— O, bywają gorsze, choć i starsze, choć niby to i przy kościele służą.

— To ty, na ten przykład, do mnie z gębą wyjechałeś?

— Tak sobie, ni do was, ni nie do was; jeno musi to prawda, co powiadają ludzie, że jak w stół uderzysz, to się nożyce odezwą.

— A bardziej nogi stołowe.

— Ej, panie Onufry, bo możemy się powadzić!

— Wadzi się równy z równym, ale teraz taki czas, że jajko, na ten przykład, chce być mądrzejsze od kury.

Florek, że w gruncie prędko był i zawzięty podniósł się i prosto ku Grędzikowskiemu szedł. Pewnie byłaby z tego jaka zła przygoda, bo i Grędzikowski, choć stary, do bójki był prędko — gdy weszło kilku gospodarzy i zaczęła się rozmowa o czem innym. Radzono o serwitutach, za które dwór obiecywał po dwa morgi lasu. Jedni byli za zgodą, drudzy się sprzeciwiali, — jak zwykle.

— Ja nie chcę lasu — odezwał się pijany Pypeć.

— Nie chcecie? — wtrącił się Joel, — ny, ny bardzo się kto martwi waszem niechceniem!

— Nie chcę i tyle — powtórzył Wincenty, uderzając pięścią w stół.

Florek do Pypcia przystąpił

— A ojciec, — rzekł, — jakie mają prawo do naszego lasu? Co ojcu chcieć, albo nie chcieć? Skoro ja zechcę, Ignac i Nastka z Michałem, to sprzedamy, jako jesteśmy gospodarze, a ojcu do tego zasie.

— Tobie zasie!

— Ojcu zasie, bo grunt nie ojcowy, tylko nasz. Mamy odpis rejentowski na to i nie ojcową głowa naszym majątkiem będzie rządziła, tylko nasza.

— Prawdziwie Florek mówi, — zawołał Ignac, — żadne kręcicielstwo nie pomoże: co nasze, to nasze — a ojcowe to ojcowe.

— Ja wam lasu nie dawałem!

— Ale... nie dawałem! toć las u ojca w kieszeni nie jest, jeno idzie za gospodarstwem. Serwitut przy gruncie, wolno nam pomieniać na las, wolno nie pomieniać, — to już według naszego pomiarkowania, jako jesteśmy dziedzice w swoim prawie!

(d. c. n.)

Jakie korzyści osiągnąłem z poplonów.

Warunki dla gospodarzy są coraz trudniejsze, wobec tego zaprowadzenie w gospodarstwie rolnem najtańszego i najłatwiejszego sposobu użyźnienia roli, a zatem podniesienia dochodu z niej i całego gospodarstwa, jest obecnie najważniejszą sprawą wszystkich rolników. Dobrodziej-

stwem gospodarzy jest bogactwo ziemi, jeśli bywa dobrze uprawiona i racjonalnie nawożona.

Przedewszystkiem o nawóz naturalny dbać powinniśmy jako podstawę gospodarstwa. W braku jednak nawozu stajennego z bardzo dobrym skutkiem można używać nawozów zielonych.

W tym celu sieje się stosowne rośliny zaraz po zbiorze głównego plonu jako poplony.

Jest to praktyczny, pewny i tani sposób przysporzenia paszy dla inwentarza i wzbogacenia roli w pokarmy roślinne.

Tą drogą dochód z gospodarstwa można znacznie zwiększyć, gdyż w ciągu jednego lata będziemy mieli dwa plony, jeden główny, a drugi poplon, zużyty bądź na paszę, bądź też przyorany na zielony nawóz. Zdadne zaś na poplony przeważnie tylko takie rośliny, które, przez tajemniczą działalność współżyjących z nimi bakterii, wzbogacają rolę w azot, ten najcenniejszy — pokarm roślinny. Jest rzeczą dowiedzioną przez praktykę, iż nawozy zielone z małym dodatkiem nawozów sztucznych, tomasówki i kainitu, mogą zupełnie zastąpić nawóz naturalny, i że można na nich bardzo obfite plony zbierać i coraz więcej podnosić urodzajność roli.

Najpierwszym i najważniejszym warunkiem udania się poplonu jest jaknajwcześniejszy jego siew. Następnie należy siać takie rośliny, które mają własność ściągania azotu z powietrza i które — prędko rosną; siać możliwie gęsto, ażeby rolę należycie ocieniły i chwasty przytłumiły.

A teraz po tych ogólnych uwagach opiszę z własnej praktyki jak ja postępuję z zasiewem poplonów i jakie mam z nich korzyści. Gospodarstwo moje znajduje się pod Włocławkiem na ziemi swanej madą nadwiślańską. Na poplony sieję: łubin, zeradełę, wykę z grochem i gorczycę.

Łubin sieję po życie w ten sposób: zaraz za żniwiarzami wiąże się snopki, rozstawia w możliwie najszersze rzędy, po zgrabieniu rozsiewa się na ściernisko 4 centnary tomasówki i 5 centnarów kainitu. Nie zwlekając ani godziny natychmiast orzę niezbyt głęboko, następnie sieję łubin w ilości 280 funtów na morg, bronuje w poprzek po raz i w końcu uciskam wałkiem kółkowym, żeby do górnej warstwy roli podnieść wilgoć, która jest bardzo potrzebna do dobrego skielkowania nasienia.

Gdy lato jest przekropne łubin wyrasta pięknie tak, iż w jesieni zdąży jeszcze zakwitnąć i osadzić dolne strączki.

W późnej jesieni wywożę na łubin pół nawozu, 15—20 fur parokonnych, łubin wałuję w kierunku idących skib, ażeby go lepiej ziemią przykryć, i razem z nawozem przyoruję.

Po łubinie sadzę zwykle pod znacznik ziemniaki Woltmany; udają mi się niezłe, bo gdy przedtem na samym nawozie zbierałem ziemniaków 105 korcy z morga, to obecnie po łubinie zbieram przeszło 130 korcy, a i następny plon — jęczmień, bardzo piękny bywa. To jest korzyść bardzo widoczna jaką otrzymuję z siewu łubinu po życie.

(d. c. n.)

Stefan Kuliński.

Wiadomości polityczne

Rosja ciągle jeszcze ma u siebie wielki rozgardjasz. Chwilami rozchodzą się wieści zatrważające, że nowa wybuchnie rewolucja i doprowadzi Rosję do ruiny. To znowu po chwili inne wieści donoszą, że rząd nowy nie traci nadziei i wprowadza niezbędną korzyść w armji, a swoich sprzymierzeńców upewnia, że jakkolwiek pragnie pokoju, jednak osobnego pokoju nie zawrze, a więc nie zawiedzie swoich wspólników. Już tu i owdzie wojska rosyjskie zaczynają działania wojenne. Zdaje się, że nowy, lepszy porządek w Rosji pomału weźmie górę i doprowadzi Rosję do pomyślniejszego bytu.

Ameryka sposobi wielką armję i ma ją wkrótce zawieźć do Francji.

A u nas, co słyhać? W Galicji polowie polscy nareszcie porozumieli się i postanowili dążyć do podniesienia Polski. Oby dotrzymali słowa, a naród cały przejął się tem postanowieniem serdecznie i skutecznie. W Warszawie Rada Stanu ciągle tylko namysla się i naradza. A kraj niecierpliwie nasłuchuje, co ma dla dobra Polski z tych narad wyniknąć, czy zachęta do drzemki, lud do wyczekiwania „gotowych gołąbków“?

Wiadomości wojenne.

Front zachodni: Grupa ks. Rupprechta: Między Boesinghe i Grelinghien panowała szczególnie silna walka artylerji. Na zachód od Mon-

chy zostali Anglicy wyrzuceni z rowów, pozostałych w ich ręku jeszcze w walce 14 b. m.

Grupa następcy tronu: Dwukrotna próba Francuzów, aby odzyskać, wydarte im niedawno, rowy na północny zachód od Hurtebisferme rozbiła się.

W Szampanji wdarł się nieprzyjaciel wcześniej po silnym ogniu do części naszych, naprzód wysuniętych, stanowisk.

Na południowy zachód od Hochberg przedsięwzięty wieczorem atak, celem rozszerzenia stanu posiadania, chybił wśród wielkich strat.

Biuro Wolffa donosi: wielokrotnie ożywiana się, czynność bojowa we Flandrji i w zachodniej Szampanji.

Zresztą nic nowego.

Berlin. W miesiącu maju zatopiły mocarstwa centralne okręty handlowe o pojemności 869.000 tonn. Od początku bezwzględnej walki łodziami podwodnymi zatopiono okrętów handlowych o ogólnej pojemności 3.665.000 tonn.

Odpowiedzi Redakcji.

P. Andrzejowi Majowi w Warszawie. Za pamięć o „Nowej Jutrzence“ serdecznie dziękujemy.

Przyjacielowi w Woli Gałęzowskiej Najzupelniej. rozumiemy Waszą duszę. Kochacie sprawę narodową i ufacie, że musi zwyciężyć. Tak jest. Jednak cały naród ma przejąć się jedną myślą i jak olbrzym bronić spraw swoich. Tylko w taki sposób wywalczy sobie niezależność. Każdy rodak przyczynić się do tego może i powinien: Za listy dziękujemy serdecznie i zachęcamy do dalszej pracy, boście, Bracie, dali dowód, że macie o czem i potraficie piórem władać. A więc spodziewamy się znowu od Was wieści, byle radosnych, jeśli to możliwe.

P. Sarowi w Sulowie. Dzielnym z Was przyjacielem „N. Jutrzenki“ Mało kto jest tak wytrwały, jak Wy. Dziekił Pisujecie prosimy.

WAPNO, CEMENT, CEGŁE, DRENY,
POKRYCIA DACHOWE (azbesto-
wo-cementowe, szyfrowe, łupkowe,
DACHÓWKA gliniana, RUBEROID)
oraz inne artykuły budowlane.

OLEJE MINERALNE do maszyn,
SMAR DO WOZÓW, POKOST
SZTUCZNY, LAKIER NA ŻE-
LAZO, POLEWĘ KAFLOWĄ,
PODESZWY DREWNIANE

poleca:

Dom Handlowy
Józef Zeydler i S-ka

LUBLIN, Szopena Nr. 3.

HURTOWNIA
MATERJAŁÓW PIŚMIENNYCH
oraz przyborów szkolnych

R. DOMIŃSKI

LUBLIN,
Krakowskie 34 (od 1 lipca Krakowskie 28).

Poleca:
**PO NAJNIŻSZYCH CENACH HUR-
TOWYCH POMOCE SZKOLNE —
KAJETY.**

Cena ogłoszeń: za wiersz drobnem pismem 70 hal.